



Zbigniew Grochowski

Sygnatura notacji: **N0462**

Data urodzenia: **31.08.1926 r.**

Data nagrania: **20.04.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Legnica, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **46 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zbigniew Grochowski: Nazywam się Zbigniew Grochowski. Urodziłem się w Lublinie w 1926 roku, tak że niedługo kończę 97 lat. Mój ojciec był dziennikarzem przed wojną, matka była nauczycielką, tak że po niej chyba odziedziczyłem te geny pracy w szkolnictwie, bo sam przez 48 lat byłem nauczycielem w Legnicy w Zespole Szkół Przemysłu Spożywczego, a przed wojną z rodzicami mieszkaliśmy w Brześciu nad Bugiem. Tam ojciec wydawał miesięcznik pod tytułem „Oczerety” poświęcony kulturze, rozwojowi województwa poleskiego, bo przed wojną to było województwo poleskie z miastem wojewódzkim w Brześciu nad Bugiem, tak że na samej granicy, bo nazwa mówi nad Bugiem. Centralną częścią Polesia było miasto Pińsk, które się mieściło centralnie. A matka pracowała jako nauczycielka matematyki, ja zresztą też jestem z wykształcenia matematykiem, w jednym z liceów w Brześciu. Po zajęciu Brześcia w 1939 roku Rosjanie rozpoczęli jesienią systematycznie wywożenie, poczynając oczywiście od inteligencji polskiej, do tej grupy rodzice należeli rzecz jasna i dlatego, chroniąc się przed wywózką na tak zwane popularnie „białe niedźwiedzie”, uciekliśmy przez zamrznięty Bug, bo w 1939 roku zima rozpoczęła się bardzo wcześnie, tak że uciekliśmy przez Bug do ówczesnej, już powstałej Generalnej Guberni. Konkretnie do Lublina, bo cała rodzina zarówno mojej mamy, jak i ojca mieszkała w Lublinie. Ojciec jako dziennikarz był zawsze związany w pewnym sensie z działalnością polityczną. Więc od razu już wiosną 1940 roku zaczął gdzieś w jakiejś konspiracji pracować. To było rzecz jasna bardzo nieudolne i efekt był taki, że chyba w marcu czy kwietniu, nie potrafię tego już powiedzieć, bo nie miałem jeszcze 14 lat wtedy, Niemcy przytknęli całą tę grupę. Efekt był taki, że moi rodzice uciekli. Tak samo ja i brat też zostaliśmy wywiezieni gdzieś do rodziny, jakichś kuzynów na wieś, a matka mojej mamy, czyli moja babcia, została wywieziona do tego słynnego niemieckiego obozu Ravensbrück dla kobiet i w efekcie całą okupację, całą wojnę, całą okupację na terenie Polski, przeżyła w tym obozie. Siostra żony została wywieziona przez

Niemców do Oświęcimia, zginęła w Oświęcimiu. My natomiast spotkaliśmy się, to znaczy mój młodszy brat i ja spotkaliśmy się z rodzicami latem 1940 roku w Warszawie. I od, już też nie pamiętam, od czerwca czy od lipca 1940 roku do powstania byliśmy cały czas w Warszawie. Ojciec zaczął wtedy już normalnie pracować w delegaturze polskiego rządu, londyńskiego rządu w Warszawie. Dzisiejszy to jest odpowiednik ministerstwa, wtedy to był dział informacji, który zajmował się wydawaniem podziemnej prasy, bo oczywiście wiadomo, że pierwszą rzeczą Niemcy zabronili posiadania radioodbiorników, pod karą śmierci trzeba było je oddawać itd. Tak że ludzie chcieli wiedzieć i dlatego właśnie delegatura rządu zdecydowała się na prowadzenie podziemne, wydawanie systematyczne tych biuletynów, nazywało to się oficjalnie „Biuletyny informacyjne”, popularne gazetki. Ojciec przy tym był zatrudniony przez cały okres okupacji. Oczywiście z tego względu mieliśmy zmienione nazwiska, tak że nazywałem się dwójako, można powiedzieć, Waław Stefan Zabłocki. To były moje okupacyjne, oficjalne dokumenty. Miałem na to nazwisko kenkartę, Arbeitskarte itd. I tak się złożyło, że tę Arbeitskarte mam do dnia dzisiejszego, ona znajduje się oczywiście w Muzeum Powstania Warszawskiego. W Warszawie przebywałem już razem z rodzicami i młodszym bratem, pod tym zmienionym nazwiskiem od połowy 1940 roku. Przed wojną, wiosną 1939 roku ukończyłem szóstą klasę szkoły podstawowej. Przed wojną była szkoła podstawowa sześciolletnia i młodzież po szóstej klasie, jak chciała się dalej uczyć, to zdawała egzamin wstępny do gimnazjum. Gimnazjum było czteroletnie, więc ja przed wojną zdałem w Brześciu nad Bugiem do gimnazjum i w Warszawie, chcąc się uczyć dalej, zacząłem naukę na tajnych kompletach i przez te cztery lata, od 1940 do 1944 przerobiłem normalnie kurs gimnazjalny na tajnych kompletach. Te komplety wyglądały w ten sposób, że było nas ośmioro, sześciu chłopaków i dwie dziewczyny, myśmy tworzyli komplet przez te cztery lata i systematycznie spotykaliśmy się pięć razy w tygodniu w Warszawie, przy placu Narutowicza, konkretnie boczna od Filtrowej, Mianowskiego albo Mochnackiego, tam takie dwie ulice są, u jednego z nauczycieli przedwojennych jakiegoś warszawskiego liceum. I tam odbywały się nasze zajęcia. Charakterystyczne, co stale podkreślam, mówiąc młodzieży, nie można było prowadzić żadnych notatek, ze względu na to, że przecież w czasie łapanki gdyby Niemcy na ulicy zatrzymali chłopaka czy dziewczynę z zeszytem, notatkami historii, to jakby mu dali w skórę, toby wyśpiewał, gdzie się te lekcje odbywały. Aresztowano by wtedy nauczyciela, grupę jego kolegów itd. Tak że trzeba było się wszystkiego uczyć na pamięć. Więc to może rzeczywiście wyrabiało pamięć, często młodzieży opowiadałem wiersze, których uczyłem się na pamięć dokładnie przed 82 czy 81 laty. Nie będę tego w tej chwili produkował, ale dosłownie. Całego „Pana Tadeusza” prawie na tych kompletach przerabialiśmy. Przerabialiśmy na tych kompletach, mówię w tym wypadku o języku polskim, scenki z jakichś sztuk, ta znana Fredry „Zemsta” o mur, „Zemsta”, czyli spór o mur graniczny. Ja tam grałem rolę Papkina, to mogę dzisiaj to recytować. Młodzież, prawie wszyscy uczestnicy tych tajnych kompletów byli w Szarych Szeregach. To zresztą tutaj należy podkreślić, że ta młodzież, która uczyła się systematycznie, tak jak ja pochodziła przeważnie z rodzin inteligentnych. Dzisiaj, jako człowiek stary, ale mogący patrzeć zupełnie inaczej na te czasy, to była, powiedzmy, ta segregacja pewnego rodzaju społeczeństwa w okresie okupacji. Chodziło po prostu o względy często finansowe. Młodzież z rodzin inteligentnych, a więc synowie tych przedwojennych lekarzy, dziennikarzy, adwokatów itd. byli finansowo lepiej sytuowani. I te lekcje w tajnych kompletach były opłacane. Czyli to było coś w rodzaju dzisiejszych korepetycji. Mówię w cudzysłowie, oczywiście, korepetycji. Chodziło o to, że przez jasną ci nauczyciele byli bezrobotni, bo drugie zarządzenie to niemieckie, poza koniecznością oddania radioaparatów pod karą śmierci, to była likwidacja szkolnictwa średniego i wyższego. Tak że było tylko szkolnictwo podstawowe, była siedmioklasowa szkoła podstawowa i po siódmej klasie młodzież mająca te 15 czy 16 lat powinna iść do pracy. Więc albo pracować w jakimś tam zakładzie produkującym coś dla

Niemców, ewentualnie za najmniejsze przewinienie aresztowanie w razie łapanki ulicznej wywożono na przymusowe roboty do Niemiec. Więc ci nauczyciele, żeby mieli z czego żyć, to musieli być finansowani przez swoich uczniów. I to była już ta właśnie jedna dysproporcja. I dlatego w tych mniej więcej 12 tys. młodzieży, która należała do Szarych Szeregów, bo to była, niektórzy mówią o 13 czy 14 nawet [tys.]. Ja, jak miałem możliwość się zorientowania, to raczej była ta niższa liczba, to była prawie w dziewięćdziesięciu paru procentach młodzież należąca do tych rodzin, jak powiedziałem, troszeczkę lepiej sytuowanych, troszeczkę bardziej związanych z inteligencją. I w związku z tym, ja już przed wojną jako chłopiec, tam dziesięcio- czy jedenastoletni dostałem od ojca, bo ojciec dziennikarz, więc miał do czynienia z fotografiami itd., dostałem aparat fotograficzny, tak że już jako szczeniak umiałem fotografować. Jak się o tym mój druh dowiedział, to od razu do mnie „Stefan”, bo byłem Stefan, prawda, Stefan Waclaw, a nie Zbigniew, „To ty będziesz wykonywał zdjęcia”. I miałem polecenie wykonywania zdjęć jakichś obiektów niemieckich czy jakichś osób, nie wiem. To byli często Niemcy, jakiś oficer niemiecki, więc to trzeba było. Jeszcze jedna sprawa. Aparaty fotograficzne nie były zabronione przez Niemców w sensie, że nie wolno posiadać, ale nie wolno było robić zdjęć ulicznych poza grupą ludzi, którzy pracowali dla Niemców, miał opaskę „fotograf” itd. Robił zdjęcia najczęściej oficerom niemieckim, którzy jechali z jakąś dziewczyną czy kimś rykszą czy coś takiego, czy grupie żołnierzy niemieckich itd. A ja nie mogłem iść z aparatem i robić zdjęcia czegoś, bo skończyłoby się od razu zabraniem aparatu, mnie, rzecz jasna, wysłaniem do więzienia na Pawiak i potem już nie wiadomo, jak by się to skończyło. Ponieważ aparaty te przedwojenne były dość kłopotliwe w obsłudze, bo trzeba było nastawiać na odległość, na czas naświetlania, na siłę światła, czyli przysłonej, więc to nie była dzisiejsza komórka, że można było klapę odchylić, już się robiło zdjęcie. Tak że to było dość kłopotliwe, ale ja zawsze te zdjęcia najczęściej robiłem w towarzystwie jednego czy dwóch kolegów czy dziewczyny, przecież mnie zastaniali, ale w 1943 roku i w 1944 wykonałem kilkanaście zdjęć miejsc egzekucji ulicznych. Bo wtedy w roku 1943 oddziały Kedywu, czyli Korpus Dywersji, czyli dzisiejsze ministerstwo, dajmy na to, obrony przy Delegaturze Rządu, które dokonywało i egzekucji konfidentów, którzy współpracowali z Niemcami, niestety, mimo że w Polsce, jak panowie wiecie świetnie, nie było oficjalnej współpracy z Niemcami, nie było żadnego rządu polskiego, tak jak był rząd Vichy, dajmy na to, we Francji czy w Norwegii, który współpracował z Niemcami, to u nas w Polsce tego nie było, ale byli ludzie, którzy z Niemcami współpracowali, donosili, łazili i szukali, czy przypadkiem gdzieś nie słychać, że coś tam pracuje jakaś maszyna, to może być tajna drukarnia. Czy przypadkiem ktoś właśnie nie ma aparatu radiowego, bo jakąś tam muzykę słychać czy broń Boże jeszcze tam rodziny żydowskiej nie ukrywa itd., to za to groziła kara śmierci, ale chodzi o to, że takich rządów wyrokiem sądów Polski Podziemnej wykonywano karę śmierci. Lżejsza kara to były np. dziewczyny, które żyły z różnych powodów z Niemcami, to je karano, że golono czy obcinano im włosy itd. Tutaj mogę wspomnieć też, że przed dziewięćdziesięciu laty ja wspólnie ze swoim przyjacielem, harcmistrzem Janickim, zrobiliśmy film o Powstaniu Warszawskim. Można go w internecie znaleźć. On ma tytuł „Gotowy z nami wstajesz”. W tym filmie np. właśnie są te sceny, że dziewczyna harcerka podrzuca do lokalu niemieckiego paczkę z materiałem łatwopalnym, który się sam zapala, to najczęściej biały fosfor był. Czy że do kina wchodzi z chłopakiem, wylewa na siedzenia płyn jakiś śmierdzący, że trzeba był potem kilka dni to kino oczyszczać. Czy właśnie scenka jest, że obcinają włosy jakiejś dziewczynie, która w taki czy inny sposób tam współpracowała, łóżkowo najczęściej, z jakimś oficerem niemieckim. A wracając właśnie do tych egzekucji ulicznych, to ponieważ wtedy były te słynne, akcja pod Arsenalem, jest znany ten film z wyzwolenia „Rudego”, który zmarł kilka dni później. To Niemcy, chcąc zastraszyć ludność Warszawy, przywozili grupę więźniów, 20–30 osób, ustawiali pod ścianą jakieś ulicy, kilku żołnierzy z pistoletów maszynowych, tych Schmeisserów niemieck-

kich, zabijano ich, wrzucano zwłoki na wóz, wywożono gdzieś za miasto, dzisiaj jeszcze przecież IPN też, prowadząc badania, odkrywa takie szczątki w pobliżu nieraz Warszawy. A ja miałem jako zadanie wczesnym rankiem, bo jak ta egzekucja była w godzinach popołudniowych, to wieczorem już ludność Warszawy tam, do najbliższych oczywiście tam domów, w pobliżu których ta egzekucja była, zapalała tam znicze, jakieś lampki, kładła kwiaty. Moi koledzy z młodszych z Zawiszków pisali na murze: „Tu rozstrzelano 30 więźniów”. Zresztą Niemcy oficjalnie wywieszali plakaty, że będzie rozstrzelanych, z nazwiskami podanymi itd. I ja to fotografowałem następnego dnia wczesnym rankiem. W nocy była Polizeistunde – godzina policyjna, nie można było robić. A rano już dozorczy musieli wycierać te napisy, tam uprzątnąć wszystko, żeby nie było żadnego śladu znaku. Oddawałem to swojemu druhowi, on z kolei przekazywał to gdzieś dalej. I to wędrowało ostatecznie do Londynu. I to było dokumentacją dla naszego londyńskiego rządu o zbrodniach popełnianych przez Niemców w Warszawie. Więc takie zdjęcie też Wam będę mógł pokazać, panom, miejsca egzekucji ulicznej, zrobione dokładnie na pół roku przed wybuchem powstania, bo w lutym 1944 roku. Jeśli chodzi o Powstanie Warszawskie, to ja, mając aparat fotograficzny, robiłem zdjęcia, będąc jednym z tych 43 oficjalnie uznanych, jeśli się można wyrazić, fotoreporterów powstania. Nie wiem, czy znają panowie ten album wydany przez Muzeum Powstania Warszawskiego. „Poznaj Warszawę 39–45”. W tym albumie są krótkie biografie, nie wszystkich 43, bo dyrektor Ołdakowski nie zebrał, że tak powiem, tych, ale większości z fotografią, więc właśnie tam jest moje zdjęcie, też te dane, że zmienione nazwisko miałem itd. Tam kilka jest moich zdjęć wykonanych, są umieszczone w tym albumie, a ja w czasie powstania byłem na Starówce, znaczy byłem na Starówce dlatego, że nie połączyłem, nie dotarłem do swojej grupy, która miała właśnie mieć zbiórkę na Mochnackiego, tam, gdzie mieliśmy zresztą te zajęcia na naukę przez te cztery lata w czasie okupacji. I efekt był taki, że przyłączyłem się po prostu do jednej z grup będących na Starym Mieście i tam wykonałem kilkadziesiąt zdjęć. I po upadku Starego Miasta, po zajęciu ostatecznie Starego Miasta 1 września, bo Stare Miasto broniło się do 1 września, czyli 32 dni, wylądowałem ostatecznie w obozie Wittenberge nad Elbą. Tak że mam też zdjęcie z tego obozu, fotografię, ogolony na łysą pałę, z tabliczką na piersiach. Więc też często mnie np. pytają, czy miałem tatuowaną rękę, bo więźniowie Oświęcimia czy innych obozów mieli numer. Tam nie wykonywano tatuażu z tego względu, że z tego obozu, to był tak zwany Durchgangslager, czyli obóz przejściowy, do którego kierowano do pracy. Więc kierowano do pracy albo w jakichś zakładach najczęściej niemieckich, przeważnie zakładach zbrojeniowych, ewentualnie zdarzało się, że kierowano do pracy na wsi. Ja miałem to szczęście, że po stosunkowo krótkim pobycie w tym obozie wylądowałem właśnie na wsi niemieckiej. Może przyczyną tego było to, że znałem dobrze język niemiecki, bo przez te cztery lata, tak jak normalnie w gimnazjum przed wojną była łacina czy był oczywiście jakiś język obcy, to ze względu wojnę, był język niemiecki rozszerzony, można powiedzieć, w wymiarze godzin, tak że ja po tych czterech latach nauki to już mówiłem po niemiecku rzeczywiście dobrze, znałem lepiej niż wielu Niemców literaturę niemiecką czy poezję. To wchodziło w zakres programu języka niemieckiego. I Niemcom był potrzebny ktoś, kto znał język niemiecki w jakimś tam majątku niemieckim, bo znalazłem się w niewielkim takim majątku niemieckim, byłbym czymś w rodzaju dolmetschera, czyli tłumacza do grupy i Serbów, i Polaków, i innych osób, które tam pracowały, więc przesiedziałem siedem miesięcy na wsi w miejscowości Grabów. Dziwna nazwa, bo ta miejscowość jest w powiecie Pritzwalk, na zachód od Berlina, także jakieś 100 km na zachód od Berlina, blisko stosunkowo tej miejscowości Wittenberge, tego obozu, w którym przez miesiąc byłem, przez wrzesień 1944 roku w tym obozie. I efekt był taki, że ta miejscowość została wyzwolona w pierwszych dniach maja, już nie pamiętam, oczywiście tego 4 czy 5 maja 1945 roku przez Rosjan, którzy doszli do Odry i za Odrą były już jednostki alianckie, znaczy amerykańskie czy też angielskie. I efekt był taki,

że ja w połowie maja wylądowałem w Polsce, podczas gdy większość osób, która była wyzwolona przez Amerykanów, wyjeżdżała, jeśli chcieli, to wyjeżdżali do Anglii, stamtąd to często rozpraszali się po całym świecie itd. A ja wróciłem w drugiej połowie maja do Polski. I po drodze wyszabrowałem, to modne było wtedy to określenie, czyli gdzieś w jakiejś miejscowości, oczywiście nie wiem jakiej, zupełnie były w ogóle puste, bo Niemcy panicznie bali się Rosjan, zresztą mieli powody do obawiania się, tak że uciekali na zachód. I efekt był taki, że wracając przez te chyba dwa tygodnie wędrówki przez Niemcy do Polski, zastawałem nieraz miasteczko czy jakąś wieś, gdzie nie było żywego ducha. Konserwy, słoje tam z jakimiś wekami czy coś były w piwnicy. Pościel, bambetle leżały na stołach. A żywego ducha nie było i znalazłem tam przyzwoity aparat fotograficzny, niemiecką tę słynną Leica. Więc wróciłem do Polski ze zdobyczą wojenną, tą Leica. Znowu, co 19-latkowi do głowy mogło przyjść? Tu jeszcze nie powiedziałem jednej rzeczy, jak nas wyprowadzono z Warszawy tego 1 września, to Niemcy oczywiście dokonywali pobieżnej rewizji. Znaczący kto miał przy sobie broń, to od razu by go zabili, tak że wychodząc z podniesionymi rękami, trzeba było broń składać. Ja aparat fotograficzny wyrzuciłem wcześniej, a miałem ze sobą dwie kasety. Kaseła małobrazkowa, bo miałem aparat, którym robiłem zdjęcia w czasie powstania, to była Retina. Małobrazkowy, 36-milimetrowy, tak że na szpulki, która ma wielkość dokładnie szpulki z nićmi, tam było 36 zdjęć. Więc miałem dwie kasety ze sobą i te dwie kasety przewędrowały przez obóz w Niemczech, bo nikt tego nie widział. I ja po powrocie z Niemiec do Polski, pierwszą rzeczą to wywołałem te zdjęcia, te taśmy, czy w ogóle coś będzie. Okazało się, że taśmy są w jak najlepszym porządku. I dzięki temu miałem zdjęcia wykonane jeszcze przed powstaniem, chociażby tego miejsca egzekucji ulicznej czy zdjęcia grup powstańców, czy jakichś tam ataków, walk na Starym Mieście. Więc co 19-letniemu chłopakowi może przyjść do głowy? Pomyślałem, trzeba wrócić do Warszawy i porobić zdjęcia Warszawy. Więc pojechałem pociągiem, też zdjęcie chyba tego pociągu, jak się jechało w maju 1945 roku do Warszawy, i w Warszawie w końcu maja i na początku czerwca 1945 roku, jak już mówiłem dwukrotnie, systematycznie obfotografowałem zniszczoną Warszawę, fotografując dosłownie kościół po kościele, pomnik po pomniku, więc mam zdjęcia Pomnika Lotnika oczywiście bez postaci, bo Niemcy zostawiali postumenty, natomiast same figury odlane z brązu, zabierali do Niemiec i przerabiali na pociski artyleryjskie. Więc to wszystko fotografowałem. Potem zresztą pojechałem do Wrocławia, także z Wrocławia mam zdjęcia. I po powrocie do Lublina, to już gdzieś było w lipcu 1945 roku, jak się zaczął rok szkolny, 1945 na 1946, to poszedłem i w przeciągu jednego roku zrobiłem, można było wtedy w trybie przyspieszonym zrobić dwa lata liceum. Tak że liceum i maturę zdałem już po wojnie w 1946 roku w Lublinie i poszedłem z kolei, zdałem egzamin wstępny na uniwersytet, to był pierwszy otwarty po wojnie w Polsce w ogóle, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i tam ukończyłem Wydział Przyrodniczy, to się nazywał Wydział Przyrodniczy, z kierunkiem fizyka, matematyka, więc fizykę i matematykę i dlatego jestem matematykiem. Skończyłem studia w 1951 roku i w 1951 roku po skończeniu studiów dostałem nakaz pracy właśnie tu do Legnicy. Ja dlatego w Legnicy jestem już 72 lata, od tego 1951 do dnia dzisiejszego. I w Legnicy przepracowałem w tym Zespole Szkół Przemysłu Spożywczego. To się tak nazywało przez długi okres, bo początkowo to było w ogóle technikum winiarskie, potem technikum gorzelnicze itd. Ja tam przepracowałem dokładnie 49 lat, do roku 2000. Już mając 74 lata, czyli tak grubo po okresie emerytalnym, bo do 65 w zasadzie, znaczący ja byłem na emeryturze, już pracowałem tam w zmniejszonym w wymiarze godzin, a od 70 mam już tę pełną emeryturę, jestem emerytem, a tak jak powiedziałem, w 2007 roku, skoro nawiązałem bliższe kontakty z Muzeum Powstania Warszawskiego, to właśnie zacząłem tę działalność, powiedzmy, oświatową czy w pewnym sensie propagandową. Wystawy moich zdjęć były i w Poznaniu, i w Krakowie. Miałem w tym znanym krakowskim Muzeum imienia generała Emila

Fieldorfa, to jest Muzeum Żołnierzy Armii Krajowej, tak że tam była wystawa moich zdjęć. Miałem oczywiście spotkania z młodzieżą szkolną tam w muzeum. Miałem spotkania z młodzieżą akademicką na uniwersytecie, na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zresztą tak samo w Poznaniu, tak samo miałem też spotkania z młodzieżą na uniwersytecie. To prowadzi do dnia dzisiejszego. Czyli tak by można było powiedzieć w tym największym skrócie o tych moich przeżyciach wojennych i mojej skromnej stosunkowo działalności. Do Szarych Szeregów to jeszcze co mógłbym dodać, ja rzeczywiście, zanim się zacząłem bardziej fotografią zajmować, o której już mówiłem, to będąc w szkole, na etapie szkół bojowych, czyli jako 15-, 16-latek, to kilkakrotnie zasmradzałem te kina, prawda, to robiłem. I dwa czy trzy razy udało mi się uszkodzić niemiecki samochód, to znaczy wlać, odkręcić wlew paliwa, wsypać garść piasku. Ale tym się raczej stosunkowo mniej zajmowałem. Byli chłopcy bardziej, że tak powiem, utalentowani czy wyspecjalizowani do tych rzeczy. Raz tylko brałem udział w takim strzyżeniu dziewczyny. Ale to mi się nie podobało i dlatego później już w tej grupie nie brałem udziału. Ponieważ dowiedziałem się, że są młode kobiety, które mają polecenie z Kedywu, czyli Korpusu Dywersji, żeby nawiązywać kontakty bliższe, więc kończące się oczywiście w łóżku, z oficerami niemieckimi po to, żeby z nich wyciągać informacje, gdzie on ma swoją jednostkę, czy jedzie na front wschodni, czy przybył z frontu wschodniego itd. Więc było wiele wypadków, że karano, mniej czy więcej dotkliwie, osoby najzupełniej niewinne, czy pracujące specjalnie dla naszej Delegatury polskiego rządu w Warszawie. Karano je dlatego, że ludzie widzieli, że to niemiecka jakaś dziwka. Tak samo mogę powiedzieć o jednej sprawie jeszcze. W Warszawie był niemiecki Instytut Weigla, produkujący szczepionkę przeciwko tyfusowi plamistemu. To była choroba okopowa, można powiedzieć. Żołnierze niemieccy, jak się tylko dało, byli szczepieni tą szczepionką. Wszy, wiadomo, w warunkach polowych są rzeczą normalną. I żeby te wszy hodować, to trzeba było je karmić krwią. I dlatego w tym Instytucie Weigla, który się mieścił w Warszawie, tam ściągano młodzież, dziewczyny i chłopaków, którzy byli lausnererami, to znaczy karmicielami wszy. To wyglądało w ten sposób, że przykładano paczkę, pudełeczko takie mniejsze od tego, tu była gaza i w tym pudełeczku siedziało paręset wszy. Przykładało się to, pielęgniarka tak na rękę, bandażowała i trzeba było spokojnie pół godziny siedzieć. Piekło jak cholera, oczywiście. Jak to zdjęto po tej pół godziny, to był czerwony tylko, taki krwisty placek, pogryzienia przez te wszy. I ja byłem takim lausnererem, z tym że mnie z kolei też mój druh polecił, żebym się na ochotnika zgłosił. Bo mówię, tak to często Niemcy, bo po prostu czy w łapankach ulicznych, czy coś tam kierowali i przymusowo to robili. A byli, okazuje się, ochotnicy, tak jak ja, powiedzmy, byłem tym ochotnikiem. Dlaczego? Dlatego że tam pracując, dostawało się ausweis uprawniający do poruszania się po Warszawie nawet w nocy. Tak że to była przepustka wyjątkowo cenna. Byłem kilka razy zatrzymany w łapance ulicznej. Jak pokazałem to, że jestem lausnererem, to od razu zwalniano. A to było potrzebne dlatego, że jak robiłem te zdjęcia rano tego miejsca egzekucji ulicznej czy jakiegoś innego, to gdyby się, powiedzmy, akurat to trafiło, to mogłoby mi się przydać. Więc znowu, ktoś mógłby uważać, że ja, będąc tym karmicielem wszy w cudzysłowie, w pewnym sensie Niemcom pomagam. Tak że to były właśnie takie różne rzeczy, które często przez długi okres powojenny były jeszcze niewyjaśnione. Te 180 tysięcy, tak średnio licząc, ludności Warszawy, która zginęła w czasie powstania, to jest przecież makabra. Na samej Woli w pierwszych dniach sierpnia, konkretnie od 1 sierpnia, jak Niemcy zaczęli atakować Wolę, do 9, jak ją spacyfikowali całkowicie, to tam wymordowali około 80 000 z kolei mieszkańców na Woli. Piwnica, w której stos, o taki stos czaszek, piszczeli. Bo Niemcy mordowali na Woli ludzi w ten sposób, że spędzali do piwnic wszystkich, kobiety, dzieci, starców, wrzucali kanister z benzyną i granat. Kto nie zginął od wybuchu granatu, to się żywcem spalał. I dlatego jak ja wszedłem do tej piwnicy w maju 1945 roku, czyli prawie 9 miesięcy po ich śmierci, nie widziałem tam ciał, tylko suche, spalone kości

i czaszki. Więc z jednej strony to jest straszna tragedia, ale z drugiej strony jest odbudowana, nowoczesna Warszawa. Taka, której na pewno by po wojnie, w czasach pseudosocjalizmu, nie odbudowano. Tu pytania są też o to, co ja robiłem po wojnie. Odpowiadam, że przez te 49 lat męczyłem młodzież licealną matematyką. Nie można było mówić wtedy, ja z tym nie miałem do czynienia jako matematyk, ale moi koledzy historycy, poloniści mieli skrupowane usta, przecież nie można było mówić ani słowa o Katyniu, o Armii Krajowej, o Żołnierzach Wyklętych. To były tematy tabu. Dopiero o tym w tej chwili się mówi. Ja po powrocie w maju 1945 roku z Niemiec poszedłem spokojnie do tego liceum w Lublinie, to było liceum Krzaczkowskiej, doktor Krzaczkowskiej, tam zdałem matę maturę. Słówkiem nie wspominając o tym, że w ogóle byłem w Warszawie w czasie okupacji, powiedzmy, w Szarych Szeregach, że byłem w powstaniu. Nic o tym nie mówiłem. Tak że potem, jak zdałem egzamin na studia, byłem studentem na UMCS-ie, to tak samo nie chwaliłem się w ogóle. Po przyjeździe do Legnicy miałem te 300 zdjęć, zrobiłem z tego album, ale nikomu go nie pokazywałem. Znaczą konkretnie pokazałem swoim dwóm przyjaciołom, z którymi wódkę się piło, ale w szkole na ten temat też nic nie mówiłem. Dopiero zacząłem o tym mówić od tego 2007 roku, czyli przez te równych 16 lat, ponad 400 spotkań, już jak powiedziałem przed chwilą. Ja mieszkałem w czasie okupacji na Starym Mieście na ulicy Sapieżyńskiej, która całkowicie w czasie powstania została zniszczona. Tak że jak byłem tam wielokrotnie w Warszawie, to po odbudowaniu zupełnie nie przypomina tego, co było przed wojną czy w czasie okupacji, kiedy Stare Miasto nie było jeszcze zniszczone. Tam mieścił się, róg Sapieżyńskiej i Bonifraterskiej, szpital dla umysłowo chorych. Czyli filia tych Tworek, które były pod tym. Tam było około 200 pacjentów, mówię, umysłowo chorych. Oni w trakcie walk na Starym Mieście, kiedy lekarzy i pielęgniarki ze szpitala wzięto do szpitali polowych, mieszczących się w piwnicach, to ich wypuszczono. I pamiętam, mam takie zdjęcie, 11 czy 12 sierpnia, jak na ulicy jest grupa ludzi w tych kitlach szpitalnych, białe kitle z niebieskimi pasami, nie wiem, dlaczego były, ludzi nie to, że nieprzytomnych, ale niezdających sobie sprawy, że jest wojna, że jest powstanie. Wie pan, poruszali się tak po ulicy nieprzytomni, lekarze ich wypuścili, nie było co z nimi robić. Niemcy ich prawie wszystkich w przeciągu paru godzin wystrzelali, ale to rzeczywiście było coś niesamowitego. Jedno takie czy dwa zdjęcia też zrobiłem, to było chyba najokropniejsze.